

CHRISSIE WELLINGTON

BEZ OGRANICZEŃ

HISTORIA NAJTWARDSZEJ KOBIETY NA ŚWIECIE



GALAKTYKA

Tytuł oryginalny: *A Life Without Limits*

Copyright © 2012 by Chrissie Wellington
All rights reserved

WYDANIE POLSKIE

© for the Polish edition: Galaktyka Sp. z o.o., Łódź 2013
90-562 Łódź, ul. Łąkowa 3/5
tel. +42 639 50 18, 639 50 19, tel./fax 639 50 17
e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl
www.galaktyka.com.pl
ISBN: 978-83-7579-269-0

Zdjęcie na okładce: © *Matt Harbicht*
Zdjęcia na tyle okładki: © *Rebecca Marshall* (górne); © *Rich Cruse* (dolne)
Zdjęcie na pierwszym skrzydełku: © *Rebecca Marshall*
Zdjęcie na drugim skrzydełku: © *Rich Cruse*

Konsultacja: *Łukasz Grass*
Redaktor prowadzący: *Marek Janiak*
Redakcja: *Bogumiła Widła*
Redakcja techniczna: *Monika Ulatowska*
Korekta: *Monika Ulatowska*

Projekt okładki: *Artur Nowakowski*
Skład: *Garamond, Łódź*
Druk i oprawa: *Drukarnia Legra*

Księgarnia internetowa!!!

Pełna informacja o ofercie, zapowiedziach i planach wydawniczych

Zapraszamy

www.galaktyka.com.pl

e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez pisemnej zgody wydawcy książka ta nie może być powielana w częściach, ani w całości. Nie może też być reprodukowana, przechowywana i przetwarzana z zastosowaniem jakichkolwiek środków elektronicznych, mechanicznych, fotokopiarskich, nagrywających i innych.

SPIS TREŚCI

Przedmowa	11
1. Ironman	13
2. Z dala od Norfolk.....	19
3. W poszukiwaniu siebie	35
4. Rozwój.....	47
5. Szczyty i wulkany	52
6. Nepal.....	69
7. Ja i mój Prem.....	83
8. Czarodziej z krainy Oz	96
9. Twarzą w twarz z Ironmanem	113
10. Triathloniści chleb powszedni.....	130
11. Ciężar korony	146
12. Na własnych nogach	166
13. Nowe rekordy i złośliwy wirus	196
14. Bohaterowie Ironmana.....	214
15. Jak feniks z popiołów	222
Epilog	247

9 TWARZĄ W TWARZ Z IRONMANEM

W NASTĘPNY WEEKEND, z bezpiecznego miejsca zza barierek, po raz pierwszy zetknęłam się z triathlonem Ironman. Było to w Zurychu, pod koniec czerwca 2007 roku. Dzień wcześniej zwyciężyłam tam w triathlonie na dystansie olimpijskim. Z klubu BRAT przyleciało do Zurychu kilkoro przyjaciół, którzy zamierzali wystartować w Ironmanie. Ich doping dodał mi skrzydeł, podobnie jak obecność Bretta. Byłam w świetnej formie – nawet pływanie poszło mi niezłe – i pomimo tego, że przy pierwszym podejździe na Heartbreak Hill przerzutka Calvina odmówiła współpracy na niższych biegach (znowu!), dość szybko udało mi się wyjść na prowadzenie. Nie oddałam go już do końca, do czwartego zwycięstwa w swojej zawodowej karierze.

To był świetny weekend. Spędziłam go wśród przyjaciół z rodzinnych stron i mogłam być znowu sobą – szczęśliwa i uśmiechnięta. I wygrałam! Zaczynałam się do tego przyzwyczajać...

Nie było jednak żadnej wątpliwości, że prawdziwym gwoździem weekendowego programu był wyścig Ironman Switzerland, planowany na następny dzień. Aż do tamtej pory, ten dystans był dla mnie po prostu pewną odmianą triathlonu, którą uprawiała część zawodników i zawodniczek z mojego zespołu. Jedną z nich była Rebecca Preston, która zresztą wtedy wygrała w szwajcarskim Ironmanie. Przebiegła maraton w czasie 3 godzin 18 minut, a ja zachodziłam w głowę, jakim cudem udało jej się tego dokonać. Byłam w szoku. Jak można pobiec maraton w takim tempie po prawie 185 km w wodzie i na siodełku?! Wydawało mi się to niewiarygodne.

Podeksytowała mnie także atmosfera – festiwal bezprecedensowych wyczynów i koleżeństwa; zmagania i radości z uprawiania sportu. Zza ogrodzenia, śmiałam się i cieszyłam jak niezdrowo zaaferowany dzieciak.

– Chciałabyś któregoś dnia wystąpić w czymś takim? – zapytał Brett.

– Tak! – wrzasnęłam, przekrzykując zgielk.

Nie zniechęcał mnie nawet dystans. Nie wiedziałam tylko, czy mam jakieś szanse. Ale polknęłam bakcyła Ironmana. Byłam zauroczona.

Co do jednego nie miałam wątpliwości: dni Calvina były policzone. W każdym kolejnym wyścigu przytrafiała mu się jakaś usterka, najczęściej polegająca na braku możliwości wrzucenia najmniejszego przełożenia z przodu. To oznaczało, że niejedną raz musiałam pokonywać wzniesienia na zbyt wysokim biegu. Choć ciężko było mi się z nim rozstać, nie miałam innego wyjścia. Był tak stary, że z ramy odpadały płatki lakieru we wściekle fioletowym kolorze. Czekala mnie przesiadka na nowszy model.

Otrzymałam go dzięki uprzejmości nowego sponsora zespołu, firmy Cervélo, która podarowała mi nowiuteńki rower. Na Calvinie po raz ostatni wystąpiłam w zawodach ITU Premium European Cup w holenderskiej miejscowości Holten, ukończyłam je na rozczarowującej, piątej pozycji. Popłynęłam fatalnie, a choć przykro mi o tym pisać, chroniczna niechęć Calvina do wrzucania najniższego biegu także mi się nie przysłużyła. Tydzień później, uzbrojona w nowy rower, wybrałam się do francuskiego Lorient, na zawody ITU Long Course World Championships. Znowu byłam piąta. Jakoś nie potrafiłam znaleźć nici porozumienia z rowerem Cervélo. Jakbym słyszała Calvina zrzedzającego „a nie mówilem?”

Dopiero podczas następnego wyścigu przekonałam się do nowej maszyny. Przekonałam? To był rytuał przejścia z prawdziwego zdarzenia. Brett zgłosił mnie do kolejnego triathlonu na długim dystansie – Alpe d’Huez. Zawody były zaplanowane na pierwszy dzień sierpnia i okazały się najtrudniejszym wyścigiem, w jakim dotychczas brałam udział. Kolejnym krokiem do Ironmana.

W przygotowaniach nie pomogło mi skaleczenie, które sama sobie zafundowałam kilka dni przed startem. Pewnie powinnam się spodziewać, że Calvin będzie się na mnie mścił, ale ostatni cios przyszedł w najmniej spodziewanym momencie. Próbowалам zdemontować ze starego roweru licznik, żeby przełożyć go do cervélo i podeszłam do zadania z typową dla siebie niecierpliwością. Oraz z nożem. Ręka mi się omsknęła, a ostrze wbiło się w dłoń między kciukiem a palcem wskazującym. W miejscowym szpitalu założono mi cztery szwy, owinięto rękę bandażem elastycznym i poinstruowano, bym nie moczyła jej w wodzie.

Brett zareagował typowym dla siebie, może niezbyt przyjemnym, ale jakże trafnym spostrzeżeniem: „Christie. Tobie się może wydaje, że wszystko to ci się

po prostu przytrafia. Ale to nieprawda. Chodzi o twoje zachowanie. Musisz się nauczyć lepiej kontrolować; myśleć, zanim coś zrobisz. Śpiesz się powoli”.

Wtedy jeszcze ludziłam się, że Brett zasugeruje mi rezygnację z zawodów, ale dziś już nie miałabym takich wątpliwości. „Oczywiście, że bierzesz udział” – rzucił krótko.

Następnego dnia pojawiłam się więc na basenie w jaskrawożółtej, gumowej rękawicy. A kolejnego przemierzałam Alpy samochodem z Holly, nastoletnią córką Bretta, która była naszą masażystką, oraz z Maxine Seear, australijską olimpijką. Maxine dołączyła do ekipy niedługo po mnie i dość szybko się zaprzyjaźniłyśmy. Pamiętam, że po drodze do Alpe d’Huez myślałam tylko „O rany!”. Nawet samochód miał kłopot z podjazdem. Dwadzieścia jeden zakrętów na trasie ciągnącej się tysiąc metrów w górę. To był ostatni etap 115-kilometrowego etapu rowerowego. Nie mogłam się już doczekać.

Wszystkie trzy zostałyśmy zakwaterowane w jednym apartamencie. W nocy poprzedzającej zawody nie spałam najlepiej – chyba nigdy nie śpię. Następnego dnia za pomocą szczypczyków do paznokci wydłubałam szwy i popedałowałam na miejsce startu. Woda w jeziorze była lodowata. Pływanie nie poszło mi zbyt dobrze. Ale gdy wsiadłam na rower, coś zaskoczyło: wyszłam na prowadzenie i na podjazdach wyrwałam ostro do przodu.

Miałam wrażenie, że jestem niesamowicie silna. Genialne uczucie. Czulałam się trochę jak kiedyś w Nepalu. Od ludzi dowiadywałam się, że moja przewaga rośnie. Na jakimś 60. kilometrze zobaczyłam na poboczu złowrogie białe berlingo i stojącego tuż obok Bretta, który wołał: „Jedź! Jedź! Nie zapomnij o jedzeniu!”.

Chwilę później dopadł mnie pech. A właściwie pierwszy z pechów. Złapałam gumę. Z tego, co mi powiedziano, gdy zsiadłam z roweru, żeby wymienić dętkę, miałam około 11 minut przewagi. Kiedy wsiadałam z powrotem, różnica stopniała do czterech minut.

Drugi pech nie dał na siebie długo czekać. Zjeżdżałam zboczem doliny, przed ostatnią wspinaczką do Alpe d’Huez. Przyznam, że w zjeżdżaniu byłam beznadziejna. Trudno się dziwić, na rower szosowy po raz pierwszy wsiadłam zaledwie trzy lata wcześniej, nie miałam więc dużego doświadczenia na dwóch kółkach. Zjeżdżanie krętą drogą po stromym zboczach na złamanie karku wymaga doskonałego panowania nad pojazdem i stalowych nerwów – a z jednym i drugim byłam trochę na bakier.

Z pewnością nie pomógł mi widok, jaki ujrzałam po wyjściu z jednego zakrętu i wejściu w drugi: nagle wyrósł przede mną jakiś dżip jadący z przeciwka. Drogi w Alpe d’Huez nie są zamykane na czas zawodów, a ja w całej swej gąpo-

watości wzięłam ten zakręt trochę za szeroko i znalazłam się oko w oko z wielką, czarną terenówką. Nie miałam wyboru. A raczej miałam – między śmiercią pod kołami a zderzeniem z barierką na poboczu. Szkopuł w tym, że za barierką także mogła czyhać kostucha.

Wybrałam barierkę. Okazało się, że zbocze po drugiej stronie było zalesione i niezbyt strome, co dawało szansę na przeżycie. Zderzyłam się z barierką czołowo, dałam szczupaka do przodu i pociągnęłam za sobą rower, po czym razem wyładowaliśmy w krzakach. Byłam trochę pokaleczona, poobcierana i zrobiłam sobie coś w nogę, ale wszystko to dało się jakoś przeżyć. Powyginałam też kierownicę, jednak po krótkim, okraszonym soczystymi przekleństwami, zmaganiu się ze sprzętem, udało mi się ją wyprostować i zamocować. Po chwili ponownie zjeżdżałam w dół zbocza prowadzącego do ostatniego, ostrego podjazdu.

Wtedy zaczęłam wyprzedzać kolejnych zawodników z zespołu – tym razem mężczyzn. Odcinki trasy, jeden za drugim, zostawały z tyłu, a ja byłam w swoim żywiole. Po 115 km dotarłam do ostatniej strefy zmian i zaczęłam 22-kilometrowy bieg na wysokości 2200 m. Pejzaż wyglądał obłędnie. Widok na otaczające góry i dolinę zapierał dech w piersiach, co wprawdzie niezbyt pomaga w biegu na dużej wysokości, ale z pewnością daje ogromny zastrzyk euforii. To dzięki temu krajobrazowi Alpe d’Huez jest jednym z moich ulubionych wyścigów. Noga rozboleła mnie na dobre, ale się nie dałam i wygrałam klasyfikację kobiet z przewagą 29 minut nad najszybszą konkurentką i na dziewiątym miejscu w klasyfikacji generalnej. Jeśli nie złapałabym gumy i nie miała kraksy...

To był punkt zwrotny. Dostrzegłam w sobie coś szczególnego: talent do długich tras. Pod względem dystansu temu wyścigowi sporo jeszcze do Ironmana brakowało, ale ze względu na bardzo trudny teren, całkowity czas nie był znacząco krótszy. Pokochałam to. Zawody na długich dystansach podobały mi się bez porównania bardziej niż te na krótkich.

Od tamtej pory nie mogłam się już doczekać występu w Ironmanie.

Tydzień później, usłyszawszy od Bretta pytanie, czy chciałabym wziąć udział w takim wyścigu, nie wahałam się więc ani chwili.

- Czy jestem już gotowa? – upewniłam się.
- Tak – potwierdził Brett.
- No to chcę!

Trzy i pół tygodnia później znalazłam się na starcie Ironmana w Korei. I tak los przywiódł mnie z powrotem na Jeju, malutką wyspę u wybrzeży Korei Po-

ludniowej; tę samą, na której pod wybuchającym wulkanem uzmysłowiłam sobie bezcelowość mojej urzędowej pracy. Ze względu na upał oraz wilgotność powietrza, Ironman Korea jest sporym wyzwaniem. W celu aklimatyzacji, przed wylotem na zawody, Brett wysłał więc wszystkich tych, którzy mieli startować, do naszej tajlandzkiej kwatery. Problem w tym, że trwała właśnie pora deszczowa. Woda strumieniami lała się z nieba i spływała kaskadą po stopniach do basenu. Oczywiście, że poślizgnęłam się na tych nieszczęsnych schodach i odbijając się od nich jak piłka, zjechałam do wody na kościstym tyłku. Bolało jak nie wiem. Miałam wrażenie, że zgruchotałam sobie kość ogonową.

Zdjęcie rentgenowskie pokazało, że kość jest na szczęście w jednym kawałku, ale świadomość tego faktu nie podziałała uśmierzająco. W oczekiwaniu na diagnozę przesiedziałam kilka godzin w tajlandzkim szpitalu, otoczona tłumem mężczyzn i kobiet z najokropniejszymi przypadłościami. Było to jedno z tych życiowych doświadczeń, których nie chciałabym powtarzać. Tydzień przed startem ledwie mogłam chodzić; o bieganiu nie było mowy. Dwa dni spędziłam w sypialni, siedząc na termoforze. Po tej termicznej kuracji wróciłam do pływania i jazdy na rowerze, ale nie widziałam żadnych szans na ukończenie maratonu. Ciężko było mi nawet wysiedzieć w samolocie do Korei ...

Brett został w odległym o tysiące kilometrów Leysin. Napisałam do niego e-mail, w którym wyraziłam swoje wątpliwości. Odpowiedź była jakże typowa:

musisz sobie poradzić z własnym tyłkiem i nikomu ani słowa. skup się na powrocie do zdrowia i na przygotowaniach do występu w korei. w końcu czeka tam na ciebie niezła forsa. może byłaby większa, gdybyś nie wypadła za barierkę i jeszcze większa, gdybyś nie spadła ze schodków, po których niejeden się już starabanił i to na twoich własnych oczach. nawet twój trener ci mówił, że te stopnie są niebezpieczne. aha, byłbym zapomniał, jeszcze byłaś łaskawa pociąć się nożem.

mam nadzieję że rozumiesz co chcę przez to wszystko powiedzieć. pora zapomnieć o „dziewczynce, której wiecznie coś się przytrafia” i zadbać o trochę samodyscypliny. z treningami sobie radzisz, a z własną głową już nie bardzo. ale wiedz że z umysłem jest tak samo jak z pokonywaniem fizycznych słabości. TRZEBA ZNAĆ JEGO SŁABE STRONY I JE ĆWICZYĆ.

całe życie składa się z nawyków. do roboty.

pozdro, tutto

I oczywiście najmniejszej wzmianki o tym, że mogłabym nie wziąć udziału w zawodach. Miałam się stawić na linii startu niezależnie od tego, czy dam radę biec, czy nie. Posłusznie się stawiałam.

Nawet gdyby nie urazy, wystawienie mnie do Ironmana sześć miesięcy po przejściu na zawodowstwo stanowiło duże ryzyko. Wszystkie moje dotychczasowe treningi były ukierunkowane na udział w triathlonie na dystansie olimpijskim. Zawodnicy występujący w Ironmanie na ogół ćwiczyli według zupełnie innego programu. Zgodnie z uznanymi normami, nie byłam przygotowana do tego występu. Większość szkoleniowców, znając moją sytuację, stwierdziłaby, że Brett postradał rozum. Ale nie znali. Byłam nikim.

Być może w jakiś tajemniczy sposób moja niedyspozycja złagodziła stres przed występem. W ogóle nie czułam się podenerwowana. A w chwili, gdy znalazłam się w wodzie, ból kości ogonowej zniknął, by więcej się nie pojawić. Organizm człowieka to zadziwiająca i niesamowita maszyna.

Niestety, nie mogę tego samego powiedzieć o rowerze. Pływanie udało mi się wyśmienicie, wyszłam z wody jako pierwsza z kobiet, co dla mnie samej było zdumiewające. Owszem, uwielbiam pływać w morzu, ale raczej nie liczyłam na prowadzenie po tym etapie. Nie mogłam uwierzyć, jak dobrze sobie radzę.

Dopałam rower. Niech to szlag ... Przednia opona była płaska jak naleśnik. „Tylko bez paniki. Brett kazałby ci zachować spokój. Już to przerabiałś” – pomyślałam.

Siedem minut później byłam już na trasie, ale na szóstej pozycji. Wraz z Vitem de Velo (jak nazwałam moją maszynę) stopniowo pieliśmy się jednak w górę stawki. Po 32 km byliśmy już na drugim miejscu, a po 104 km przegoniliśmy Rebekkę i wysforowaliśmy się na prowadzenie. Nie bez trudu – przewyższenia były o wiele większe, niż się spodziewałam, temperatura wynosiła 37°C, a wilgotność sięgała 95%. Istna sauna. Po blisko godzinie w wodzie oraz 5 godzinach i 17 minutach na rowerze, z ulgą odkleiłam się od siodełka. Jeszcze tylko maraton.

Po saunie zostało tylko wspomnienie: bieg odbywał się w warunkach przypominających raczej piekarnik. Wystrzał startera rozległ się o siódmej rano; maraton zaczęłam więc wczesnym popołudniem. Na dystans składały się trzy pętle po nowo wybudowanej autostradzie. Droga to wznosiła się, to opadała, a asfalt pod nogami promieniował gorącem niczym patelnia. Nigdzie ani odrobiny cienia. Żadnych drzew. Zupełnie nic. To było piekło, walka z własną słabością. Ludzie padali w tym ukropie niczym muchy, zataczali się jak pijani, desperacko próbując dotrzeć do mety, która znajdowała się jeszcze wiele kilometrów przed nimi.

Ale ja czułam się zupełnie nieźle. Miałam chwilę słabości w okolicach 27. kilometra, ale przy 35. kilometrze złapałam drugi oddech. (A może czwarty albo piąty?). Choć pewnie zabrzmiało to okrutnie, było coś motywującego w widoku sportowców slaniających się na nogach w okolicy pobocza. Nawet niektórzy zawodowcy gonili resztkami sił. A ja nie. Owszem, bolało. Po ukończeniu wyścigu stopy płonęły mi żywym ogniem. O otarciach nie warto nawet mówić. Ale ani przez chwilę nie wątpiłam, że dotrę do końca. I że będę na naprawdę dobrej pozycji.

Linie mety pokonałam po 9 godzinach i 54 minutach. Jako pierwsza kobieta. Nie mogłam w to uwierzyć. A w każdym razie z pewnością nie uwierzyłabym, gdyby wcześniej ktoś powiedział mi, że wygram. Ale tak naprawdę w Ironmanie nic nie dzieje się przypadkiem i już na długo przed finiszem zdawałam sobie sprawę z tego, że jeśli się nie załamie – to będę pierwsza. Moja najbliższa konkurentka ukończyła wyścig ponad 50 minut po mnie. W klasyfikacji generalnej, włącznie z mężczyznami, byłam siódma.

Nagrodą było 20 000 USD i przepustka na mistrzostwa świata Ironman w Kona, na Hawajach – wyścigu będącym protoplastą wszystkich Ironmanów. Miały się odbyć siedem tygodni później, w październiku. Na mecie zadzwoniłam do Bretta i poinformowałam o wygranej.

– Dobra robota, mała.

– Zaproponowali mi udział w Ironmanie w Kona, na Hawajach. Powinnaś się zgłosić?

– Dlaczego nie? Zrezygnować zawsze można.

– To kosztuje 500 USD.

– Wchodzisz.

Zwyczajowe afterparty po wyścigu odbyło się następnego dnia, w hotelu Lotte na wyspie Jeju – tak, tym z wybuchającym wulkanem. Powrót do tego miejsca, tym razem bez garsonki i dokumentów rządu angielskiego, w charakterze uczestniczki Ironmana, która śpi na podłodze w najtańszym apartamencie dzielonym z dwoma innymi członkami zespołu, stanowił dla mnie oczyszczenie. Byłam szczęśliwsza, że życie potoczyło się tak, a nie inaczej.

Po prostu byłam szczęśliwsza, kropka. Na Jeju mieszkalam razem z Luke'em Dragstrą i Vinnie'em Santaną. Luke był zaprawionym w bojach zawodowcem. Prawdopodobnie spodziewał się, że przed pierwszym występem w Ironmanie będę się bać, zamartwiać, zadawać mnóstwo pytań i ogólnie sprawiać same problemy. Ale okazało się, że nie. W trakcie tego wyjazdu zaczęliśmy się lepiej dogadywać. Od Bretta usłyszałam później, że zaskoczyłam Luke'a opanowaniem, pewnością siebie i świetnym przygotowaniem. Ucieszyłam się. To był przełom

w relacjach z zespołem. Tego weekendu, wśród kolegów, uczestników Ironmana, wreszcie poczułam się jak wśród swoich.

Brett także był zadowolony. Niecały tydzień później wysłał mi e-mail następującej treści:

*jestem z ciebie dumny, z siebie tym razem trochę mniej. nawet nie wiesz ile nerwów kosztują te moje po-sutto-nowienia co do twojej kariery. wszyscy zawsze chętnie wytkną, że jestem walnięty i że cię marnuję, ale żaden potem nie zadzwoni i nie powie „no stary lisie, miałeś rację. skąd wiedziałeś, że da sobie radę?”. nie, znowu się gdzieś zaszyją i będą czekali aż coś spieprzę, a wtedy będą mogli dogadywać „a nie mówiłem?”.
fajnie, że zamknęłaś im gęby*

Nagle uświadomiłam sobie, pod jaką presją był Brett, gdy wysyłał mnie do Korei. Przecież to mogło okazać się kompletną klapą. Ryzykował niemal tak samo jak ja. Nie przygotowywałam się do Ironmana. Nie miałam nawet podstawowego sprzętu – ściagałam się na rowerze szosowym, z giętą kierownicą i zwykłymi kołami. Trochę rzeczy pożyczyłam od ludzi z zespołu. Na sobie miałam starą, czarną kamizelkę – niezbyt szczęśliwy pomysł na taki upał – na której wprasowałam logo drużyny. I jeszcze zbita kość ogonowa, którą Brett kazał mi zignorować. Jeśli wziąć to wszystko pod uwagę, jego przecucie, że „dam sobie radę”, musiało cały czas wisieć na włosku. Poszedł na całość, wbrew wszelkim podręcznikowym regułom.

Zresztą za chwilę zrobił to znowu: uparł się, że w następnym weekend powinienam polecieć do Singapuru, żeby wziąć udział w pół-Ironmanie. Wbrew regułom? Równie dobrze można by podrzeć podręcznik i demonstracyjne obsikać strzępy. Żaden inny trener nie poparłby programu, który realizowałam. Miałam za sobą dwa długie triatlony, Alpe d’Huez i Ironmana, a teraz zamierzałam wystartować w pół-Ironmanie; wszystko to w ciągu zaledwie kilku tygodni. A za pięć tygodni miałam w perspektywie Hawaje. Inni uznaliby, że się przetrenowuję. Że za dużo podróżuję, a za mało czasu poświęcam na odpoczynek.

I jeśli chodzi o Singapur, pewnie miałoby rację. Parcie na ten wyścig wynikało ze względów marketingowych – wiązała się z nim promocja zespołu w jednym z największych centrów finansowych. Chyba nigdy nie byłam tak blisko granic możliwości organizmu, jak wtedy. Padałam ze zmęczenia. Biegłam, ale nogi ciążyły mi jak z ołowiu. Było naprawdę ciężko. Tego dnia triumfowała Belinda Granger, kolejna koleżanka z drużyny. Ja byłam trzecia.

Ale miałam to z głowy, a po powrocie na zgrupowanie do Tajlandii czekało mnie pięć tygodni przygotowań do najważniejszych zawodów mojego życia.

Po występie w Singapurze dostałam rower wyścigowy z prawdziwego zdarzenia – tzw. „czasówkę”, na wyczynowych kołach! Nauczyłam się od Brett, by nie przykładać dużej wagi do najnowocześniejszej technologii. Wyznawał zasadę, że zbyt wielu ludzi zabiega o najdroższy, najbardziej aerodynamiczny sprzęt, zamiast o jego napęd. Mimo to przed startem na Hawajach sam uznał, że bezwzględnie muszę mieć dobry rower czasowy. Prawie całe sześć tygodni przygotowań spożytkowałam na naukę jazdy na nowym sprzęcie. Rower do jazdy indywidualnej na czas wymaga zupełnie innego ułożenia ciała.

Wreszcie nadszedł wielki dzień, a inni członkowie zespołu, którzy zakwalifikowali się do zawodów w Kona, polecili na Hawaje. Brett zasugerował mi jednak, żebym została w Tajlandii jeszcze kilka dni. Nie chciał, abym dała się ponieść tamtejszemu szaleństwu; jak to nazwał – „nabawiła hawajskiej gorączki”. Nie miałam pojęcia, co ma na myśli, ale chętnie zostałam. Choć kontakty z chłopakami z zespołu układały się coraz lepiej, to przez dziewczęta nadal byłam traktowana jak klasowa kujonka przez gwiazdy studniówki. Liczyłam na to, że po wzięciu udziału w kilku zawodach trochę mnie zaakceptują, lecz okazało się, iż na drodze do porozumienia tym razem stanęła zawiść. Po prostu nie mogłam wygrywać. A raczej mogłam, ale z niekorzyścią dla wspólnych relacji.

Przed wyjazdem Brett zaordynował zawodnikom trening w postaci minizawodów na miejscu. Ja także zostałam poddana tej próbie, na dwa dni przed odlotem. Trening składał się z 3 km pływania, dwugodzinnej jazdy na rowerze i niecałych 10 km na bieżni. Lało jak z cebra, w isticie monsunowym stylu. Biegłam w strugach deszczu, rozchlapując butami kałuże. Całkiem sama, jeśli nie liczyć obserwującego mnie Brett i dwóch bezpańskich psów. Zaliczyłam ten trening na szóstkę. Oprócz zwyczajowego „dobra robota, mała” na odchodne, Brett nie powiedział ani słowa. Ale ja wiedziałam, jak zdali sprawdzian inni, i domyślałam się, że moje wyniki dotrą do dziewcząt na Hawajach.

Na początku października, tuż przed odlotem i na dziewięć dni przed wyścigiem, Brett dał mi kartkę z notatnika, z nabazgranymi – niemal zupełnie nieczytelnie – ostatnimi sugestiami (zachowałam ją). Pisał, żebym odcięła się od otoczenia i nie dała się ponieść emocjom. To tylko kolejny start, jak każdy inny. A przede wszystkim, żebym nie słuchała niczyich dobrych rad.

Nie potrzebowałam wiele czasu po przylocie na Hawaje, by zrozumieć, o jakie emocje chodzi. To był cyrk na kółkach. Nie ma tam wielu miejsc do tre-

ningów, więc ludzie biegają w tę i z powrotem wciąż po tych samych drogach. Gdziekolwiek się ruszysz – ktoś ćwiczy. Każdy patrzy na każdego; czujesz się jak na pokazie mody.

Wszędzie roi się od dziennikarzy przeprowadzających wywiady z zawodowcami. Ludzie oblegają targi zorganizowane przez sponsorów, w ostatniej chwili kupują brakujący sprzęt albo pomimo południowego skwaru tłoczą się kolejkach, by zdobyć podpis czempionów Ironmana. Ci, którzy szukają odrobiny wytchnienia, wysiadają po miejscowych kafejkach, lustrują mijających ich zawodników i plotkują o tym, kto w czym i gdzie brał udział, kto jest szybki, a kto wolny, kto ma kontuzję albo jest w formie; no i typują dziesiątkę najlepszych. Coś mi mówiło, że moje nazwisko w tych rozmowach nie pada.

Możliwość usunięcia się w cień sprawiła mi nie lada ulgę. Nikt o mnie nic nie wiedział. Miałam nawet problemy ze znalezieniem noclegu. Gdy zapadła decyzja o moim uczestnictwie w zawodach, co lepsze kwatery były już od dawna zarezerwowane. Wreszcie udało mi się znaleźć jakiś pokój – choć powinnam raczej powiedzieć: łóżko w małym mieszkaniu – który dzieliłam z dwoma całkiem nieznanymi facetami: Scottem Neyedlim, zawodowcem z Anglii oraz Eneko Elosegui, hiszpańskim amatorem. Nasze lokum znajdowało się osiem kilometrów od Kona, w połowie wzniesienia, na które prowadziła droga o 20-procentowym nachyleniu. To oznaczało, że po każdym treningu czekała nas mordercza jazda rowerem pod górę, do domu. Taszczyłam ze sobą zakupy i zachodziłam w głowę, czy wszyscy przygotowują się podobnie.

No i jeszcze to mieszkanie... Mieliśmy do dyspozycji dwa pokoje. Scott, jako główny najemca, zajął większy, a ja z Eneko ulokowaliśmy się w drugim. Całe wyposażenie stanowiły biurko, wentylator i dwa pojedyncze łóżka, pośrodku wygniecione jak stara trampolina. Kuchnia znajdowała się na zewnątrz, pod daszkiem. W pokoju obok mieszkała para z hałaśliwym psem, rozwrzeszczanym dzieciakiem i ze skłonnościami do wydzierania się na siebie nawzajem. Najdelikatniej mówiąc, kwatery okazała się dość podła.

Moje przygotowanie od strony technicznej wcale nie było lepsze. Nie miałam sprzętu – jeśli nie liczyć używanych szortów, które dostałam od Rebekki przed wyjazdem do Korei (zachowałam je). Jeszcze w tym samym tygodniu kupiłam więc strój i buty. To niewiarygodne, ile tam chcieli za najprostszy top! Na nowych rzeczach wprasowałam logo drużyny. Ech, gdybym miała jakichś sponsorów, których mogłabym reklamować... I jeszcze na dokładkę zламаł mi się pedał w rowerze. Nie miałam już grosza przy duszy, więc po prostu go skleiałam.

W poniedziałek przed wielkim dniem wsiedliśmy z Eneko na rowery i po drodze natknęliśmy się na Belinę, Hillary i Rebekkę. Może i należałyśmy do jednej drużyny, ale przez cały tydzień nie miałyśmy ze sobą kontaktu. Byłam zresztą pewna, że i tak nie chciałyby ze mną gadać, a poza tym miałam unikać wszystkiego i wszystkich, i skupić się na wyścigu. Zaplanowaliśmy z Eneko czterogodzinny trening na rowerach, a dziewczęta spotkałyśmy dokładnie w połowie trasy, po dwóch godzinach jazdy. Atmosfera w jednej chwili zgęstniała tak, że Eneko nie wiedział, gdzie się schować.

Drogę powrotną rozpoczęliśmy wspólnie, ale już po chwili Belinda wystrzeliła do przodu. I tyle zostało z niepisanej umowy o niewyprzedzaniu partnerów z drużyny. Jednak nie wyczułam w tym złośliwości. Domyślałam się, że był to jej sposób na zaznaczenie swojej pozycji przed wielkim wyścigiem; psychologiczny manewr, który sama potem stosowałam. Bez wątplenia wywarł zamierzony efekt: pomyślałam, że Belinda jest na rowerze znacznie szybsza ode mnie.

Jeśli chodzi o sam występ, uważam, że moja anonimowość i ignorancja paradoksalnie dały mi sporą przewagę. Mnóstwo ludzi знаło na wylot trasę, teren, warunki i konkurentów. Ja nie miałam o tym wszystkim zielonego pojęcia i byłam nikim. Nie myślałam. Po prostu parlałam do przodu.

Nawet pobyt w naszej małej ruderze z dala od Kona i całego zgiełku miał swoje zalety. Choć nie powiem, by ostatnia noc szczególnie mi się przysłużyła. Sąsiedzi byli wyjątkowo wokalni, nawet jak na ich możliwości, gdy zaś o pierwszej w nocy przyjechała do nich policja na sygnale, dziecko rozryczało się jeszcze bardziej, a pies rozszczekał. Usiadłam wtedy na swoim zapadniętym łóżku, w pokoju dzielonym z facetem, którego dopiero co poznałam, i pomyślałam: „Jutro czeka mnie najważniejszy wyścig w moim życiu, a ja nie mogę zmrużyć oka”.

Zmorzyło mnie wreszcie około wpół do trzeciej nad ranem, czyli na jakieś dwie godziny przed pobudką. O wpół do piątej zadzwonił budzik i cała nasza trójka z przekrwionymi ze zmęczenia oczami rozpoczęła przygotowania do startu. Trzy angielskie mufinki, trochę miodu, banan i herbata – to było moje śniadanie przed zawodami. Przed każdym startem, bez wyjątku, czytam też wiersz Kiplinga *Jeżeli*.

O wpół do szóstej rano na start podrzucili nas rodzice Scotta. Jeszcze tylko ostatni przegląd rowerów i poszłam przygotować się do pływania. Mistrzostwa świata czy nie, jakoś się nie denerwowałam. Nie czułam tego respektu – albo strachu – przed wyścigiem, jak pozostali. Byłam po prostu bardzo podekscyto-

wana. Wokół tłum ludzi, około 1600 zawodników i tysiące widzów rozlokowanych na brzegu i na ulicach.

Do wody weszłam około wpół do siódmej, rozgrzałam się, a potem przecisnęłam na front stawki, gdzie wszyscy zastygliśmy w oczekiwaniu na sygnał startera. Wokół nas rozciągał się zachwycający widok. Nad wulkanem wschodziło słońce, woda była spokojna i krystalicznie czysta. Widziałam przepływające pode mną ryby i wyczekujących na start nurków z wycelowanymi w nas aparatami fotograficznymi.

Za piętnaście siódma rozpoczęło wyścig 150 zawodowców, na kwadrans przed resztą stawki. Moim celem było ukończenie tego etapu w pierwszej dekadzie. W ciągu dwugodzinnej drzemki śniłam, że dopływam czwarta i byłam z tego powodu bardzo szczęśliwa.

Strzał, ruszamy. Nie płynęło mi się najlepiej. Czulałam się jak w pralce; panowała wolna amerykanka. Ale ryby i koralowce pod nami dopingowały do wysiłku o wiele bardziej niż niekończące się czarne linie na basenie. Płynęliśmy z Belindą obok siebie. Ona nabierała powietrza z głową obróconą na lewo, a ja na prawo, więc płynąc, co rusz patrzyliśmy na siebie i rytmicznie, razem wynurzałyśmy spod wody. Zadziwiający sposób na zadziwienie bliższej przyjaźni.

Po dotarciu do strefy zmian traciłam do liderów około sześciu minut, co na tym etapie stanowi bardzo dużą przewagę. Przez pierwszych 40 km na rowerze miałam wrażenie, że ruszam się jak mucha w smole. Zaczęłam się denerwować, że nie nic nie zwojuję, nie dam rady. Ale wreszcie udało mi się zostawić frustrację z tyłu, wraz z mijanymi po drodze zawodnikami. Potem wyprzedziłam Hillary i poczułam się jeszcze lepiej, a chwilę później rozpoczął się podjazd do Hawi, małego miasteczka ulokowanego na malowniczym cyplu; najbardziej na północ wysuniętym skrawku wyspy. Tam też znajduje się punkt zwrotny etapu kolarskiego. Długi, monotony podjazd pod wiatr to moja specjalność – na podjazdach jestem w swoim żywiole, a opór wiatru jeszcze mnie dopinguje. Na tym 32-kilometrowym odcinku wyprzedziłam wielu konkurentów. Tuż przed wjazdem do Hawi wyminęłam grupkę jadących w przeciwnym kierunku zawodniczek z towarzyszącymi im na motocyklach reporterami. Wtedy zrozumiałam, że stopniowo doganiam czołówkę, choć nie zdawałam sobie sprawy z tego, że przed wspomnianą grupą były jeszcze dwie liderki. Minęłyśmy się troszkę wcześniej, ale przy prędkości 40 km/h czasami trudno jest rozpoznać pleć człowieka nadjeżdżającego z przeciwka.

Uświadomiłam sobie, że powinnam je dogonić, nawet jeśli po prostu utrzymam bieżące tempo. W drodze powrotnej z Hawi, tuż przed wjazdem na auto-

stradę Queen Ka'ahumanu, mija się niewielkie miasteczko o nazwie Kawaihae. Droga skręca tutaj łagodnym łukiem w lewo – i tam po raz kolejny zobaczyłam dziewczęta jadące przede mną. Były tuż-tuż. Czekala mnie ważna decyzja: albo usiądę im na ogonie, albo wyprzedzę całą grupę, gdyż jechały tak blisko siebie, że nie dałabym rady wcisnąć się pomiędzy nie.

Wyprzedziłam. Wśród mijanych rowerzystek była Belinda. Potem dowiedziałam się, że jeden z pozostałych zawodników, Sam McGlone, na mój widok zapytał, kto to był. „Zwycięzcy tego wyścigu” – odparła Belinda.

Po trasie zawodów jeździ motocykl z tablicą z międzyczasami. Mój numer był wymieniony na dziewiątym miejscu, ale w trakcie zawodów nigdy nie ma pewności, na ile aktualna jest klasyfikacja podana na tablicy i jacy zawodnicy kryją się pod poszczególnymi numerami. Tak naprawdę byłam trzecia – wyprzedzały mnie jeszcze dwie zawodniczki, Dede Griesbauer i Leanda Cave. Wyprzedziłam obie na podjazdach, na ostatnim odcinku etapu kolarskiego, liczącym około 24 km. Rozpierała mnie energia. Gnałam jak na skrzydłach.

Nagle osaczyły mnie kamery. Przeszło mi przez głowę, że być może ktoś z przyjaciół obserwuje w domu moje zmagania. Transmisję na żywo z zawodów można przecież obejrzeć w internecie. I te śmigłowce nad głową. I te wiwaty. Rany, ależ mnóstwo ludzi wyległo na ulice. Czulałam się jak w transie.

Trans to dobre słowo. W trakcie wyścigu miałam wrażenie, że otacza mnie wielka bańka – trochę jakbym nurkowała. Niby widziałam i słyszałam cały ten zgiełk: śmigłowce, kamery, reporterów i dopingujących widzów, ale nie opuszczało mnie poczucie nierealności; jakbym oglądała z boku kogoś innego.

Druga zmiana poszła sprawnie i w ciągu kilku chwil już udeptywałam ulice Kona; biegłam ulicą Ali'i Drive, a potem dalej Queen Ka'ahumanu. W triathlonie nigdy nie wiadomo, czy po zejściu z roweru nogi przypomną sobie, jak się biega, ale moje najwyraźniej miały niezłą pamięć i teraz bez trudu niosły mnie do przodu.

Nawet na tym etapie ludzie nadal nie traktowali mnie poważnie. Większość myślała chyba, że jako niemądra nowicjuszka dałam z siebie wszystko na pierwszych etapach i w biegu padnę ze zmęczenia. Komentatorów bardziej intrygował fakt, że nie mam na głowie czapki albo chociaż daszka. To przecież Hawaje, a na Hawajach wszyscy chodzą w czapkach. Ale ja nigdy nie lubiłam nakryć głowy – mam wrażenie, że każde mnie uciska. Cały mój sprzęt przeciwsłoneczny stanowią więc ciemne okulary, kupione dwa lata wcześniej za jakieś 20 dolarów na stacji benzynowej w Nowej Zelandii.

Reporterzy rozpaczliwie szukali czegoś, co można byłoby powiedzieć na mój temat. Przyjaciele oglądający transmisję online złościли się i krzyczeli na nieszczęsnych ekspertów płaczących się w zeznaniach.

Jakieś osiem kilometrów później, ponownie minęłyśmy się z Belindą; tyle tylko że z przeciwnych stron – teraz wyprzedzałam ją bowiem o ponad trzy kilometry. Na mój widok Belinda zaczęła krzyczeć: „Zrobisz to, Chrissie! Tylko pamiętaj, jedz! Nie zapomnij o jedzeniu! Skup się!”

Taki był początek naszej przyjaźni.

Pomimo rozgorączkowania, nagle ni z gruszki, ni z pietruszki przypomniałam sobie, że tego dnia miał się odbyć mecz Anglia – Francja w ramach mistrzostw świata w rugby. W biegu zapytałam jakiegoś mężczyznę wymachującego flagą z krzyżem św. Jerzego, czy zna wynik. Odkrzyknął, że Anglicy wygrali, a tym samym – na przekór wszystkiemu – zakwalifikowali się do finału.

W tamten weekend gwiazdy najwyraźniej sprzyjały Anglii (nasza drużyna futbolowa też odniosła zwycięstwo). Byłam czarnym koniem tego wyścigu; moje prowadzenie stanowiło jeszcze większe zaskoczenie niż zwycięstwo angielskich rugbystów. Ale od chwili gdy znalazłam się na czele, po około pięciu i pół godzinach i blisko 170 km zmagania, nie opuszczało mnie przeświadczenie, że to nie może potrwać długo. Od zejścia z roweru po głowie tłukła mi się jedna myśl: „Dogonią mnie, dogonią mnie”. Dogonią mnie, jak tylko dotrę do Ali'i Drive. Dogonią mnie, jak skręcę w Queen Ka'ahumanu.

Gdzie oni się podzieli? Moja przewaga rosła i rosła. Jakieś osiem kilometrów przed metą przyszło mi do głowy, że właśnie zbliża się chwila prawdy. Brett zawsze powtarzał, iż wyścig tak naprawdę zaczyna się właśnie na tym odcinku. Czujesz się świetnie, aż tu nagle, bez ostrzeżenia dopada cię kryzys. Jego słowa dźwięczały mi w uszach. Wydawało mi się, że mój organizm powinien wytrzymać, ale z drugiej strony nie mieściło mi się w głowie, że mogłabym wygrać. Jeśli umysł się podda, ciało może być następne.

Po drodze spotkałam starego przyjaciela z uniwersytetu w Birmingham, eksperta od żywienia, Askera Jeukendrupa. Był w połowie dystansu maratonu, gdy ja zbliżałam się do finiszu. Przybiliśmy piątkę.

Zbiegłam w dół, do miasta, z nieodpartym poczuciem bliskości linii mety. Śmiałam się i płakałam jednocześnie, byłam kompletnie oszołomiona. Dostrzegłam stojącego z boku drogi chłopaka mojej przyjaciółki, zabrałam mu flagę, a potem wymachując nią i nadal śmiejąc się przez łzy, popędziłam na metę.

Ku mojemu bezbrzeżnemu zdumieniu, jadący za mną dotychczas motocykl u podnóża wzniesienia skręcił w lewo. „O nie...” – zmartwiłam. Muppet

kontratakuje. Nie przyjrzałam się mapie. Okazało się, że czeka mnie jeszcze pętla wokół centrum. Przedemną nadal były prawie dwa kilometry maratonu; dwa kilometry targania ze sobą wielkiej flagi, wymachiwania, śmiania się i szlochania.

Kilkaset metrów przed metą usłyszałam dziwny, niski dźwięk i pomyślałam: „Buczą! Buczą na mnie!”. Nic dziwnego; nikt przecież nie wiedział, kim jest ta irytująca Brytyjka z flagą, więc mój triumf nie był mile widziany. Na chwilę lub dwie kompletnie oklapłam. Przeszło mi, dopiero gdy zobaczyłam dwóch postawnych tubylców, którzy dmąc w konchy muszli, witali mistrzynię świata. Kolejna tradycja wyścigu w Kona, o której nie miałam pojęcia.

Aż wreszcie ją zobaczyłam. Linie mety. I po raz pierwszy przeszło mi przez myśl, że od tej chwili wszystko ulegnie zmianie. Wygrałam. Chrissie Wellington mistrzynią świata. Ukłoniłam się przed wiwatującym tłumem – tak; tym razem byłam pewna, że wiwatują na moją cześć – i około godziny 15:53, po 9 godzinach, 8 minutach i 45 sekundach od startu sięgnęłam po taśmę wieńczącą wyścig. Ujęłam ją obiema dłońmi, zerwałam pociągnięciem w dół, do kolan, a potem uniosłam wysoko nad głową.

A wtedy puścili resztki tradycyjnej wyspiarskiej powściągliwości. Kompletnie się rozkleiłam; płakałam i śmiałam się jednocześnie. Gratulowali mi jacyś ważni ludzie, włożono mi na szyję tradycyjną hawajską girlandę, założono na głowę wianek. Rozemocjonowany mężczyzna w białej czapce – dziś wiem, że był to Mike Reilly, zwany „głosem Ironmana” – odciągnął mnie na bok i podetknął mikrofon.

Od tamtej chwili wszystko działo się jak we śnie. Ktoś poprosił mnie o wywiad, a ja bezwiednie podążyłam za nim. Miałam lzy w oczach, a od ciągłego uśmiechania się usta bolały mnie chyba niemal tak samo jak nogi i stopy.

Ludzie często pytają, jak się wtedy czułam. Do dziś nie potrafię znaleźć właściwej odpowiedzi. Najczęściej mówię, że byłam jak w transie, ale jest mnóstwo innych słów, które lepiej lub gorzej oddają tamten stan ducha, choć każde z nich z osobna jest zaledwie jego cieniem. Słów takich jak: podniecona, zagubiona, usatysfakcjonowana, nieprzytomna i dumna. Ukoronowanie wszystkich dotychczasowych treningów w postaci zdobycia największego wyróżnienia w uprawianej dyscyplinie sportu wywołuje falę euforii, o której często mówią mistrzowie. To jednak w niczym nie umniejsza wyjątkowości tego wydarzenia. I wcale nie ułatwia ubrania go w słowa. Pamiętam też swój smutek – żalowałam, że nie mogli tego widzieć moi rodzice (wykupili wakacje na Sycylii, gdy nikt jeszcze nie wiedział, iż wezmę udział w tym wyścigu; o zwycięstwie w nim nie wspominając) ani Brett (który nigdy nie odwiedza Kona; po części ze względu

na kontrowersyjne wypadki z przeszłości, a po części dlatego, że uznaje, iż na tym etapie kończy się jego praca jako szkoleniowca).

Poszłam na test antidopingowy, a później na wyśmienity poczęstunek do pobliskiej restauracji, gdzie objadłam się za wszystkie czasy.

Potem zaś przyszła pora, by wybrać się do lokum na zboczu wulkanu i zabrać swoje rzeczy. Teraz miałam do dyspozycji pokój w hotelu, ale w przeprowadzce do apartamentu było coś symbolicznego. Nie byłam już bezimienna. W mieście na dole kotłowało się od tysięcy zawodników, których nie znałam. Tymczasem ja nagle byłam na ustach wszystkich. W ciągu kilku najbliższych dni miałam uściśnąć niezliczoną liczbę dłoni, w trakcie kolejnych wyścigów uwaga wielu ludzi będzie skupiona na mnie, a mój zwariowany taniec kurczaka stanie się tematem licznych komentarzy. O Boże ... moje życie zmieniło się na dobre.

Ta konstatacja ze zdwojoną siłą dotarła do mnie w ciągu najbliższych godzin. Na ciągnącej się w nieskończoność konferencji prasowej zostałam wymęczona przez grono dziennikarzy, którzy wcześniej nigdy o mnie nie słyszeli. Wreszcie wyrwałam się, by wrócić na linię mety, gdzie zostałam do końca wyścigu; do północy, kiedy to wszyscy uczestnicy nadal zmagający się z trasą są delikatnie, acz stanowczo, informowani, że czas minął. Wymieniałam uściski dłoni, rozdawałam autografy, rzucałam w tłum różne rzeczy, cieszyłam się wspólnie z innymi zawodnikami, którzy docierali na metę, tańczyłam ...

Ale tak naprawdę byłam tym wszystkim przytłoczona. Nie znałam żadnych sposobów na radzenie sobie ze skupioną na mnie uwagą, z najróżniejszymi propozycjami, które otrzymywałam. Jedynym znanym i zaufanym człowiekiem w całym tym zamieszaniu był Asker, który wziął na siebie obowiązki kogoś w rodzaju menedżera. Producenci rowerów, butów, firmy konsultingowe: możemy zrobić dla pani to, możemy tamto. Staralam się uśmiechać na lewo i prawo, ale w środku coś się we mnie burzyło.

Udało mi się dodzwonić do przeszczęśliwych rodziców i powiedzieć im, że ich mała dziewczynka dokonała czegoś, co zapewne będzie miało daleko idące konsekwencje – o dziwo, choć raz niebędące wynikiem jakiegoś nieszczęśliwego wypadku. Moja mama zrewanżowała się wówczas opowieścią o tym, że właśnie po trzech dniach wyszła ze szpitala, gdyż w trakcie pobytu na Sycylii potknęła się o krawężnik, gruchnęła jak długa o ziemię i uszkodziła pęcherzyk żółciowy oraz jedną z nerek. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Potem dobiłam się do Brett'a.

„Dobra robota, mała” – powiedział po prostu, jak zwykle. Ale dla mnie to były trzy najważniejsze słowa na świecie.

Następnego dnia przysiadłam faldów, aby napisać zwycięską mowę na ceremonię wręczenia nagród, która miała się odbyć w nocy. Nie wzięłam ze sobą wieczorowej sukni i musiałam coś pożyczyć. Czulałam treść, stojąc na scenie wraz z innymi dziewczętami z pierwszej dziesiątki, obok Belindy i Rebekki. Już nawet nie ze względu na tłum widzów, ale na samą myśl o klasie otaczających mnie sportowców. Moja mowa była dość długa. Zawsze wychodzą mi trochę dłuższe, niż początkowo zamierzam. Ale płynęła prosto z serca.

Wykorzystałam ją, by zainteresować zgromadzonych problematyką międzynarodowego rozwoju. „Pracowałam jako nauczycielka pływania w szkole w Bostonie” – mówiłam. „I na własne oczy widziałam, jaki wpływ na życie dzieci może mieć sport. A potem raz jeszcze, w Nepalu, gdzie sport był jedną z nielicznych rzeczy, które mogły godzić zwaśnione strony. Sport ma ogromną moc i może być źródłem energii do pozytywnych przemian”.

To była szalona noc, szalony weekend, który zakończyłam w jedyny rozsądny sposób, jaki przyszedł mi do głowy: na spokojnie i z przyjaciółmi. Choć Scotta i Eneko poznałam zaledwie kilka dni wcześniej, bardzo się polubiliśmy. Późnym wieczorem poszliśmy potańczyć do lokalu Lou Lou, gdzie odbywało się tradycyjne afterparty, a potem wspólnie wybraliśmy się do fast foodu Denny's na najbardziej tuczące, niezdrowe i najpyszniejsze pod słońcem żarcie, składające się ze skrzydełek kurczaka, chipsów, koreczków z mozzarellą i wszelkich innych smakowitości smażonych na głębokim oleju, jakie tylko wpadły nam w ręce. Chłopcy podarowali mi srebrny naszyjnik z trzema żółwiami, symbolizującymi naszą trójkę. Nadal go noszę.

Dłuższą chwilę zajęło mi odnalezienie się w nowej sytuacji, w jakiej się znalazłam po występie w Kona. Przez cały rok po prostu realizowałam kolejne zadania, które przede mną stawiano, i nigdy nie rozpatrywałam swoich postępów w jakichś szczególnych kategoriach. A już z pewnością nie spodziewałam się, że zostanę mistrzynią świata. Dopiero gdy złapałam chwilę oddechu i spokojnie sięgnęłam pamięcią wstecz, zdałam sobie sprawę, jak niezwykle były minione miesiące. W połowie lutego zdecydowałam się przejść na zawodowstwo z myślą o występie na olimpiadzie. A tymczasem w połowie października zostałam mistrzynią świata w Ironmanie. Miałam do odbioru czek na kwotę 110 000 USD, mój czas odnotowano jako ósmy najszybszy na tej trasie w klasyfikacji kobiet, a czas maratonu – 2 godziny 59 minut i 58 sekund – był drugim w historii. Zewsząd dobijali się do mnie jacyś ludzie. Pławiłam się w zachwytach i pochwałach, jak nigdy w życiu.

Takie rzeczy mogą uderzyć dziewczynie do głowy. Wiedziałam, że muszę zrobić wszystko, by tak się nie stało.

HISTORIA NAJTWARDSZEJ KOBIETY NA ŚWIECIE



© Rich Cruse



© Renata Majstall

Nie przypuszczałam, że droga do zawodowego sportu (i to jakiego!...) może prowadzić przez tak wiele różnych doświadczeń życiowych. Biografia Chrissie Wellington to niesamowita opowieść o podróży w głąb siebie, która dowodzi, że nie tylko zwycięzcy są ludźmi z żelaza. Owiane legendą i pokazane z perspektywy uczestnika, zawody Ironman budzą szacunek i podziw. Ale jeszcze większe wrażenie robi upór Chrissie w poszukiwaniu własnej drogi życiowej oraz otwieraniu się na innych ludzi i na samą siebie. Ta książka to także historia o odnajdywaniu pasji do sportu, którą Wellington potrafi skutecznie zarażać. Przeczytałam ją jednym tchem. Inspirująca.

*Maja Włoszczowska
mistrzyni świata i wicemistrzyni olimpijska
w kolarstwie górskim*

Historia Chrissie utwierdziła mnie w przekonaniu, że jeżeli tylko damy sobie szansę, możemy robić rzeczy niewiarygodne i nic nas nie powstrzyma – chyba że my sami wyrządzimy sobie taką krzywdę. Ta dziewczyna jest nieźle pokręcona. Chorobliwe dążenie do perfekcji mogło ją wykończyć, ale na szczęście ma otwartą głowę i kocha świat. Wiele twardych lekcji nauczyło ją niezwykłej pokory. Jest bohaterką, która wyzwoliła we mnie ambiwalentne uczucia: złości, zazdrości i podziwu zarazem. Chrissie to skupiona na sobie, skończona egoistka, co zupełnie nie przeszkadza jej być wrażliwym i dobrym człowiekiem, który chce zmieniać świat i pomagać innym. Mieszanka wybuchowa. Z tego nie mogło wynikać nic innego, jak niewiarygodne, wręcz kosmiczne sukcesy.

*Iwona Guzowska
mistrzyni świata w kickboxingu,
boksie zawodowym, miłośniczka biegania i triathlonu*

www.galaktyka.com.pl

Zeskanuj, aby obejrzeć film



www.goo.gl/oJvpq

Patronat medialny:



ISBN 978-83-7579-269-0



9 788375 792690